

Czy zastanawiałeś się kiedyś, co sprawia, że jesteś taki jaki jesteś? Dlaczego reagujesz na określone sytuacje w taki, a nie inny sposób? Prawdopodobnie każdy z nas mógłby teraz wymienić wiele czynników, które wpłynęły na ukształtowanie jego osobowości. Myślę, że 99% zmieściłoby się po prostu w kategorii „przeszłość”, zawierającej takie pojęcia jak wychowanie, szkoła, rodzina, przyjaciele, warunki i okoliczności, słowem – doświadczenie, które każdy z nas zbiera przez całe życie. A co z terażniejszością, czy dziś mamy wpływ na to jacy jesteśmy? Obecnie wiele się słyszy o potrzebie samorozwoju, o kształtowaniu swojego charakteru. Świat popularyzuje najróżniejsze techniki psychologiczne, które mają na celu ukształtować nasze, nie tyle zachowanie i wartości, co postrzeganie samego siebie. Świat mówi „Uwolnij się od przeszłości, pogódź się z nią, a inaczej spojrzysz na siebie”. Psychoanaliza, która nie skupia się na zmianie, jako rozwiązaniu problemu, który widzisz, ale zmianie sposobu w jaki na niego patrzysz – „zaakceptuj siebie takiego jakim jesteś, walcz o swoje” krzyczy. A więc, jeśli nie jesteś wierzącym człowiekiem, idziesz nieświadomie na wiele kompromisów, które pozwalają Ci żyć „normalnie”. Zaczynasz akceptować pewne zachowania i postawy, tworzysz mechanizmy które pozwalają Ci przetrwać w trudnych sytuacjach, i nie zastanawiasz się nawet czy może być w tym coś złego. Jeśli natomiast jesteś człowiekiem wierzącym (nie chcę uogólniać, ale często tak jest), żyjesz budując swoją codzienność na Słowie „że oto jesteś nowym stworzeniem”, starasz się jak możesz i również używasz mechanizmów obronnych. A kiedy nie masz już sił, pogłębia się twoja frustracja i zaczynasz również wierzyć w to, że coś jest z Tobą nie tak, i po prostu trzeba to ukryć. Jeśli nie przed Bogiem, to przed samym sobą, a na pewno przed innymi. Kiedy tracisz siły w osobistych potyczkach, wierzysz że Bóg jest Wielki, ale zdajesz sobie sprawę, że ty wcale nie jesteś. W kryzysowym momencie puszczasz wiele rzeczy, poddajesz się. Mogą to być relacje, praca, służba, marzenia, o które długo walczyłeś. Pomyśl, ile wylałeś łez, ile nie przespałeś nocy, z powodu rozczarowania samym sobą?

Zanim rozpoczęło się seminarium „Zintegrowane podejście do biblijnej służby uwolnienia i uzdrowienia”, Bóg przygotowywał mnie do wielkiej zmiany, jaka miała się dokonać we mnie podczas jego trwania. Czułam się jakby ktoś napinał we mnie wszystkie struny, z każdym dniem bardziej i bardziej. W każdej dziedzinie mojego życia nagle coś zaczęło stawiać dziwny, niezrozumiały dla mnie opór. Cierpiały moje relacje i moja służba, ale najbardziej cierpiałam ja sama. Do tego wszystkiego dzień po dniu, przez zwykłe wydarzenia i obserwacje, intensywnie napływały do mnie wspomnienia, z którymi wydawało mi się, że już się dawno pożegnałam. Czułam się naprawdę rozchwiana emocjonalnie, potrafiłam to przyznać w rozmowach z bliskimi, ale nie potrafiłam przyznać się sama przed sobą, co było tego powodem. Gdybym miała to zobrazować, wyglądało to trochę jak ping pong, atakowało mnie zaskakujące wspomnienie, które odrzucałam jak piłkę, a potem następne, które znów odrzucałam, i znów następne... Rosło we mnie napięcie, frustracja i wściekłość, które nieświadomie przelewałam na zewnątrz. Mocno odbiło się to na moim przekonaniu co do mojej służby. Stałam w miejscu kryzysu i w noc przed seminarium, zrozpaczona wykrzyczałam Bogu, że jeśli nie stanie się cud to zrezygnuję. Czułam bardzo silną presję, miałam o sobie fatalne zdanie i zaczęłam wierzyć, że będzie lepiej dla wszystkich, w tym dla Kościoła, jeśli odpuszczę. Na pewno ktoś się znajdzie na moje miejsce, ta myśl była jeszcze bardziej dołująca. Byłam złamana, bo wiedziałam, że jeśli naprawdę to puszczyć, to porzucę swoje marzenia i nic już nie będzie miało dla mnie wartości, że popełnię ogromny błąd i będzie to dla mnie jak pochyła w dół, również w stosunku do innych marzeń. Ale miałam dość. Jednak tej nocy zdałam sobie sprawę, że najbardziej dość miałam samej siebie. Byłam zmęczona swoimi emocjami, sposobem reagowania, myślenia i działania. Modliłam się o cud, choć nie wiedziałam w jakiej postaci.

Rano udałam się na wykłady oczekując, że Bóg użyje właśnie tego tematu, aby do mnie przemówić. Seminarium dzieliło się na kilka głównych zagadnień, szczególnie dotknął mnie temat „Zranienia duszy i ducha.” Przez pierwszą chwilę nie czułam, że ten temat może mnie dotyczyć. W moim charakterze leży świadomość, że żywienie nieprzebaczenia jest niszczące. Umiejętność przebaczenia w swoim życiu musiałam nauczyć się praktykować dość wcześnie. W okresie dojrzewania straciłam ojca, który odszedł od nas postanawiając zmienić swój styl życia, zostawiając moją mamę z czwórką dzieci na „łaskę losu”. Od tamtego momentu do dnia dzisiejszego, przebaczenie innym stało się nieodłączną częścią mojej chrześcijańskiej codzienności. Kiedy jednak podczas wykładu mówczyźnie zaczęły poruszać temat mechanizmów obronnych, poczułam się jakby ktoś niektóre z nich opisał wzorując się na mnie. Odkryłam, że niektóre z mechanizmów stosuję już tak zaawansowanie, że nazwałabym je cechami charakteru a nie pewnymi warunkami. Nie rozumiałam jednak, dlaczego, skoro nie trwałam w żadnym nieprzebaczeniu. Czego broniłam? Co chciałam ukryć? Skąd wzięły się u mnie warunki wstydu, strachu i kontroli? Uczestniczenie w tym wykładzie było dla mnie jak podgrzewanie wody, im bardziej temat był rozwijany, tym bardziej czułam jak się we mnie gotuje. Przechodziłam wewnętrzną rozbiórkę. Wtedy napłynęły do mnie wszystkie wspomnienia, które nękały mnie w ostatnich dniach.

Pewnego dnia kiedy stałam w oknie, zobaczyłam jak ojciec uczył małą dziewczynkę jeździć na rowerze. Rowerek miał zamontowany z tyłu kij do prowadzenia i przytrzymywania przez osobę dorosłą. Patrzyłam na to i czułam jak narastała we mnie złość. Przypomniałam sobie jak ja uczyłam się jeździć na rowerze. Na zapiaszczonym podwórku raz po raz po przewrotkach, wstawałam i uparcie wsiadałam z powrotem na rower, starając się jak najdłużej utrzymać równowagę. Mój ojciec siedział wtedy na balkonie zanosząc się od śmiechu, kiedy ja z obtartymi kolanami i łokciami, przez ły próbowałam osiągnąć celu. Całej sytuacji przyglądali się też inni sąsiedzi, do tej pory wspominają to z uśmiechem, jaka byłam wtedy „niepokonana”. Innym razem szłam na górę, z której również puszczałam się rowerem, a hamowania uczyłam się zatrzymując się przednim kołem między szczeblami płotu na dole. Często łączyło się to z mocnym uderzeniem i podrzuceniem tylnej części roweru. Nigdy wcześniej nie przyznałam się, że to bolało, zostawiłam to wspomnienie. Nauczyłam się wreszcie jeździć i to było najważniejsze. Dlaczego to wróciło? Co Bóg chciał mi pokazać przywołując to „błaha” wspomnienie? Dotarło do mnie, że od małego byłam uczona radzić sobie sama. Często na zasadzie udowadniania czegoś innym, którzy mi się przyglądali. A moje pozdzierane kolana i ły nikogo nie interesowały, no chyba że jako forma rozrywki.

Myślę, że mój ojciec był trudnym człowiekiem. Na pewno wymagającym, więcej od innych niż od siebie. Byłam pierwszym dzieckiem, dzisiaj wiem, że przekładał na mnie wiele swoich ambicji. Był nauczycielem perkusji w szkole muzycznej. Równocześnie z rozpoczęciem nauki w szkole podstawowej zapisał mnie do szkoły muzycznej do klasy fortepianu, którego nie lubiłam. Musiałam pracować z nauczycielami, których nie lubiłam jeszcze bardziej. Z sześciu lat, które tam spędziłam jedyne co wyniosłam to przekonania, że „jestem głucha jak pień”, „niemożliwe że jestem dzieckiem swojego ojca”, i że „muszę być naprawdę głupia, żeby nie móc załapać podstawowych zasad muzycznych”. Całą sytuację pogarszał fakt, że mieszkaliśmy w mieszkaniu służbowym, w prywatnym bloku łączącym się ze szkołą muzyczną. Więc moje najbliższe otoczenie składało się głównie z ludzi mną rozczarowanych. Na dodatek rówieśnikami z podwórka były dzieci samych nauczycieli i wszystkie były dużo zdolniejsze ode mnie. Większość z nich, dzisiaj jest mistrzami w swoim fachu. Cieszę się, że im się udało, ale wiem, że w świecie czytania nut żadnemu z nich nie było łatwo. Jednak

z nimi rodzice ćwiczyli, a do mnie ojciec nie miał cierpliwości, byłam „zbyt tępą”. Właściwie to nigdy dla mnie jej nie miał.

Zawsze czułam, że stawiano mi wysokie poprzeczki. Poza szkołą muzyczną zbierałam dobre oceny, lubiłam się uczyć. Angażowałam się w wiele dodatkowych zajęć pozalekcyjnych. Mój ojciec tylko raz okazał mi zainteresowanie w dziedzinie moich osiągnięć szkolnych, kiedy otrzymałam czerwony pasek na świadectwie. Wtedy ten jeden raz poszedł ze mną na zakończenie szkoły, tylko po to, żeby zrobić mi zdjęcie podczas wręczania dyplomu przez dyrektora. Byłam dzieckiem, ale czułam, że ta otoczka jest nie w porządku.

Po zakończeniu sześcioletniego cyklu nauki na fortepianie, w wakacje wzięłam udział w konferencji uwielbienia - konferencji muzycznej. Wtedy właściwie dla zabawy zgłosiłam się na zajęcia perkusyjne. Tygodniowe spotkania dały mi więcej, niż sześć lat w szkole muzycznej. Ktoś we mnie uwierzył, poświęcił mi czas, poprowadził, pochwalił. I nagle się okazało, że wcale nie byłam ani głucha ani tępą. Kiedy wzięłam udział w koncercie kończącym konferencję, jako 12 letnie dziecko usiadłam za dużym zestawem perkusyjnym i grając z zespołem dobrze sobie poradziłam. Po raz pierwszy uwierzyłam, że może ojciec jednak będzie miał powód do dumy. Zapisalam się ponownie do szkoły muzycznej, do klasy perkusji a moim nauczycielem miał być ojciec. Zrobiłam to też z innego powodu, nie tylko znów chciałam coś udowodnić, ale również spędzać z nim więcej czasu i być może znaleźć z nim trochę więcej wspólnych tematów. Czułam się jak gwiazdeczka, byłam pierwszą dziewczyną w klasie perkusji. Zaistniałam. W końcu. I stawałam na wysokości zadania. Przerobiłam 2 klasy w jeden rok.

Niestety relacje w domu zaczęły się pogarszać. Ojciec był bardzo towarzyski, lubiany przez wiele osób. Łatwo nawiązywał nowe znajomości i szukał nowych wrażeń. Poza tym, że uczył w szkole muzycznej, również prowadził dobrze prosperujący sklep wędkarski oraz współuczestniczył w organizacji imprez miejskich. Z czasem wciągnął się w klimaty klubowe i został dj'em w jednej z kawiarni. Miałam bardzo znanego ojca, a to zobowiązywało. Przede wszystkim do tego, żebym dobrze wyglądała i potrafiła z każdym porozmawiać, pokazać się. Mój ojciec zaczął naciskać na moją autoprezentację, ale w zupełnie innej kulturze niż kościelna. Do dzisiaj pamiętam jak w klubie uczył mnie chodzić na pierwszych obcasach.

Sam przestał chodzić do kościoła, za to coraz częściej wracał do domu pod wpływem alkoholu. Moja mama najpierw cierpliwie czekała, miała nadzieję, że to chwilowe. Potem już zamykała drzwi na noc. Mój pokój był od strony klatki schodowej, przy samych drzwiach wejściowych. Kiedy ojciec wracał, ja mu otwierałam. Przesiadywał u mnie w pokoju dopóki nie doszedł do siebie, często zasypiał na kanapie. Łudziłam się, że jeszcze nie wszystko stracone, poza tym był moim kumplem – razem chodziliśmy na imprezy. Po pewnym czasie zaczęło do mnie docierać, że trwam w zakłamanej rzeczywistości, poza tym często był zbyt głośno, a smród przetrawionego alkoholu był nie do zniesienia. Moje młodsze rodzeństwo nie raz było świadkami jego stanu. Przestałam więc otwierać drzwi nocą, kiedy wracał. Miałam nadzieję, że jeśli będę konsekwentna, to coś do niego dotrze. Moje miasto było małym miasteczkiem, w którym informacje rozchodziły się bardzo szybko. Ojciec nocował pod drzwiami na wycieraczce, zaczęło o tym mówić w bloku, w szkole, na ulicy... Kiedy słyszałam płacz i modlitwy mojej mamy z drugiego końca mieszkania, sama się modliłam i wierzyłam, że to minie. Chciałam odzyskać ojca, pomimo tego jaki był. Po dłuższym czasie, zaczęłam się jednak modlić o coś innego. Żebym mogła przespać całą noc, nie słysząc awantury jaką ojciec robi pod drzwiami, nie

myśleć o sąsiadach, nie słyszeć szlochu i niespełnionych modlitw mojej mamy. Chciałam, żeby zniknął.

Mój ojciec wyprowadził się, kiedy spędzałam zimowe ferie u znajomych za granicą, opiekując się ich małym dzieckiem. Pewnego wieczoru podczas modlitwy poczułam, jak Duch Święty chce mnie o czymś uprzedzić i pocieszyć: „Twój ojciec ma inną kobietę i odejdzie”. Na początku sądziłam, że to moja wyobraźnia, ale coś wewnątrz mówiło mi, że to nie mój wymysł. Następnego dnia dowiedziałam się, z ust kobiety u której mieszkałam, że zadzwoniła moja mama właśnie z taką informacją. Jedyne co pamiętałam to niekontrolowane łzy i przekonanie, że będę musiała być jeszcze silniejsza.

Postanowiłam, że stanę w roli ojca, zajmę się mamą i moim rodzeństwem. Nie byłam wściekła, że ojciec mnie zostawił. Byłam wściekła, że zostawił ich. Z drugiej strony dziękowałam Bogu za to, że nas od niego uwolnił. Wiedziałam, że będzie ciężko, ale czułam, że to było potrzebne, żeby moja rodzina mogła zacząć normalnie funkcjonować.

Kończyłam ostatnią klasę perkusji kiedy ojciec od nas odszedł. Przestałam ćwiczyć. Zrezygnowałam ze szkoły w ostatnim miesiącu nauki, nie poszłam na egzamin końcowy. Poddałam się, odrzuciłam marzenie, którego realizacja przestała się dla mnie liczyć. Powierzchnownie. W środku czułam ogromny ból. Nie tylko ze względu na utracony kontakt z ojcem, ale ze względu na to zniszczone marzenie, ponieważ instrumenty perkusyjne naprawdę kochałam. Do tej pory towarzyszy mi głęboki sentyment.

Knajpa, w której ojciec prowadził dyskoteki była jedynym miejscem, w którym miałam szansę go spotkać, po tym jak się wyprowadził z domu. Ale był warunek, musiałam być dobrze ubrana, mieć pełny makijaż i szpilki. Inaczej cofał mnie do domu. Tak więc pierwsze lata liceum minęły mi na darmowych wejściówkach na dyskotekę, polewaniu wódki ojcu i jego kumplom od stolika i udawaniu, że sama nie korzystam, kiedy on nie patrzy. Wpadłam w bunt. Ojciec nie był już dla mnie ojcem, był kumplem od stolika. Kiedy zaistniałam w jego świetle, przestało mi to odpowiadać. Kłóciło się to z wartościami, które wpajała we mnie mama. Wiedziałam, że kiedy ja jestem na imprezie, ona modli się o mnie w swojej sypialni. Czułam to. Ale szłam w zaparte. Odcięłam się od ojca, bo stał się już w moich oczach zbyt żaloszny i zaczęłam szukać nowego towarzystwa. Jednak w moim sercu Bóg był wciąż obecny i szeptał do mnie. Przeszłam przez wiele kultur młodzieżowych, szukając relaksu i akceptacji. Za każdym razem słyszałam od kogoś, że „jestem inna, jest we mnie coś co sprawia, że do nich nie pasuję”. Nie były to zdania raniące mnie, nikt nie mówił tego tonem, który miał mi dopiec. Było to stwierdzenie osób, z którymi bardziej się lubiłam, szczerze i zastanawiające. Słyszałam to samo zdanie kilka razy od najróżniejszych znajomych. Czułam wtedy, jak Bóg za każdym razem kończył ich wypowiedź mówiąc „...bo należysz do Mnie.”

W liceum trafiłam na obóz chrześcijański, na którym się gruntownie nawróciłam. Oczywiście najpierw wyzaliłam się Bogu. Zaczynając od tego, że jak mógł dopuścić, żeby mój ojciec, który przez wiele lat był wierzący i służył w grupie uwielbienia, dzisiaj był w takim miejscu? A kończąc na tym, że moje nawrócenie nie może być powierzchowne, bo jeśli mam Mu się oddać to w całości. A moje życie chrześcijańskie - żeby nie było nudne, aby nigdy nie korciło mnie do powielenia drogi za ojcem. Później dojrzałam do innych prośb składanych przed Bogiem, dotyczących mojego rozwoju w oddaniu a nie wymagań wobec Niego.

Nie miałam żadnego problemu, żeby zerwać z dotychczasowym stylem życia, żeby pożegnać się ze znajomymi. Wróciłam z obozu oczekując, że Bóg będzie do mnie mówić i widocznie działać w moim

życiu. W pewnym sensie niegrzecznie postawiłam Bogu warunki, ale do dziś jestem przekonana, że wtedy łaskawie się do mnie uśmiechał.

Pierwszym wydarzeniem, które pokazało mi, że Bogu na mnie zależy i które fundamentalnie przekonało mnie co do Niego, była sytuacja, kiedy ojciec wrócił nocą do domu w stanie oczywiście nietrzeźwym. Moja mama wyjechała do rodziny, a ja zostałam na noc z młodszym rodzeństwem. Ojciec włączył komputer, i zaczął grać w strzelankę, nagłaśniając to ogromnymi dyskotekowymi głośnikami. Obudzona i zdenerwowana zaczęłam się modlić, nie chciałam się wdawać z kłótnią z nim, to byłaby strata czasu. Po chwili usłyszałam, jak gra się zacina. Modliłam się dalej, aż hałas ustał, a ja usłyszałam zdenerwowanie ojca z powodu problemów z całym komputerem. Wyłączył grę i włączył muzykę. Czułam się jakbym się duchowo biła z czymś czego nie widzę. Modliłam się dalej, trochę to trwało. W końcu coś strzeliło i ucichło. Byłam w szoku. Zadowolona i podekscytowana podziękowałam Panu Bogu za interwencję i położyłam się spać. Niestety radość moja trwała krótko, bo ktoś zaczął pukać do drzwi. Okazało się, że to znajomy ojca, wpadł wracając z imprezy, oczywiście z butelką wódki. Pomodliłam się chwilę, ale moja irytacja była tak silna, że ubrałam się i poszłam do pokoju, w którym byli. Gość, który wpadł z wizytą miał ponad dwa metry wzrostu i właśnie polewał alkohol, kiedy weszłam do pokoju. Nigdy wcześniej nie czułam takiego rodzaju złości, jakby duchowej i nigdy nie byłam tak pewna siebie. Poprosiłam, właściwie nakazałam temu panu wyjść z mojego domu. Ojciec zareagował śmiechem, a mężczyzna zaczął mnie przeproszać i rzeczywiście wyszedł. Mnie! Nastoletnią dziewczynę, która przy nim wyglądała jak igielka. Parę miesięcy później w luźniej rozmowie z mamą na temat znajomych ojca, dowiedziałam się, że ojciec poskarżył się mamie na tamtą sytuację, ponieważ jego kolega powiedział, że „sam tego nie rozumie, ale przestraszył się mnie w tamtym momencie i czuł, że naprawdę musi wyjść.” Nigdy więcej nas nie odwiedził. Wtedy zrozumiałam, że to nie ja wzbudziłam postrach, tylko Duch Święty, który był we mnie. Że świat duchowy istnieje i ja mam dostęp do zwycięstwa. Że w autorytecie mogę bronić swojego życia i swojego terytorium. A więc moje życie mogło wyglądać inaczej, a moja rozwijająca się wiara nabierała mocy.

Do dnia dzisiejszego, przeszłam długą i trudną drogę. Bóg kształtował mnie szeptem, łaskawym uśmiechem, a kiedy kształtował mnie przez łzy, zawsze przy mnie był. Pokazywał mi wiele dziedzin w moim życiu, które wymagały naprawy. Kiedy zaczęłam poważną służbę w kościele, kształtował mnie używając innych ludzi. Niby miałam tego świadomość, ale gdzieś głęboko były zranienia, których wcale nie chciałam odkrywać. I nieświadomie używałam mechanizmów obronnych, aby się ukryć z obawy, że ktoś mógłby mnie poznać od tej słabej strony. Wpadłam w wir niebożych przekonań, co było kolejnym zagadnieniem w ramach seminarium. Moim przekonaniem było, że jeśli będę prawdziwa, to będę odrzucona. A prawdziwa ja byłam niezadowolająca, niewystarczająca, rozczarowująca...

Spytałam Boga, jak to jest: „...przecież jestem nawrócona, głęboko wierząca, a więc buduję na Skale. Mam prawidłowe fundamenty. Na bieżąco rozprawiam się ze wszystkim, o czym mam świadomość, że jest niezgodne z Kulturą Królestwa Bożego. Skąd więc moje problemy?” I Bóg pokazał mi dom, jaki buduję na skale. Ten dom obrazował mnie. Skała była właściwa, ale dom był podniszczony. Zranienia były w moim życiu jak pęknięcia w ścianach i nieszczelne okna. Kiedy pojęłam, przez jaką zmianę Bóg chce mnie przeprowadzić używając tego seminarium i pozwoliłam Mu na to, zobaczyłam jak wypełnia ten dom Swoim Światłem od środka i naprawia wszelkie defekty. Jak odnawia moje wnętrze. Uświadomienie sobie, że myślę o sobie w niewłaściwy (nieboży) sposób, przeanalizowanie skąd takie

myślenie się wzięło i przebaczenie samej sobie, pozwoliło Bogu mnie uzdrowić. Poprosiłam Boga, aby pracował we mnie. Postanowiłam przyjąć i wierzyć w Bożą Prawdę na mój temat, że jestem cenna i mogę być prawdziwa. Pozwoliłam Bogu wyburzyć mur, w który uderzałam głową, który zatrzymywał mnie na mojej drodze, a Bóg nie chciał go usunąć, zanim sama go nie zobaczyłam.

Zranienia z dzieciństwa przekładały się na mój sposób funkcjonowania w życiu dorosłym. Powodowały wiele silnych i niepożądanych emocji, często nieadekwatnych do wielu sytuacji. Kształtowały sposób myślenia: obwinianie siebie, że nie jestem w stanie sprostać wszystkim oczekiwaniom. Determinowały mój sposób zachowania, wywoływały agresję bądź panikę i wycofanie. Wpływały na sposób komunikacji z innymi i na różnicę w poziomach wzajemnego rozumienia się. W trakcie wykładu szczególnie przemówiło do mnie porównanie osoby zranionej do złamanej ręki. Kiedy twoja ręka jest złamana, wystarczy byle dotyk, abyś odczuł ból. W ostatnich dniach mojego kryzysu tak właśnie się czułam, wystarczyła błaha sprawa, aby napędzić lokomotywę moich myśli i emocji. Słyszałam od innych, że przestałam się rozwijać. Sama to czułam, ale to zdanie budziło we mnie wściekłość, ponieważ wiedziałam, ile przeszłam i jak bardzo zależy mi na rozwoju. Przekładało się to na moją służbę. Dlaczego nagle stanęłam w miejscu, a pod naporem emocji, wręcz zaczęłam się cofać? Bo to co jest chore, nie może się rozwijać – usłyszałam na wykładzie – nie można ćwiczyć ręki, która jest złamana. Nie można przycinać drzewa, które jest chore. Tego bólu jest już za dużo. Chore drzewo nie wzrasta.

Cała konferencja była dla mnie taką dawką duchowego leku, że zaczęłam panikować, co będzie kiedy się skończy. Że zostanę z rewolucją w moim umyśle i nie będę umiała wszystkiego sama poukładać. Seminarium się skończy, a ja nie chciałam, żeby temat się rozwiął. Nie chcę wrócić do punktu wyjścia. Spytałam Boga, co dalej.

„Wyobraź sobie, że podarowałam Ci piękną różę. Co z nią zrobisz?” zapytał.

Piękna róża będzie pięknie wyglądać w pięknym wazonie w widocznym miejscu, pomyślałam na prędko.

A po tygodniu zwiędnie, dodałam po chwili zmieszana.

Ale mogę ją zasadzić, dbać o dobrą glebę, czyste powietrze, odpowiednie witaminy. A kiedy się rozkrzewi, obdarowywać innych kwiatami... I poczułam, że to trafna odpowiedź.

„A teraz wyobraź sobie, że Ty jesteś tą piękną różą.”

Cudownie, uśmiechnęłam się.

„Co zrobisz, kiedy ktoś Cię dotknie?”

Zastanowiłam się. No cóż, każda róża ma kolce, odpowiedziałam dowcipnie.

„Jeśli tak będziesz myśleć to wrócisz do mechanizmów obronnych. Wrócisz do punktu wyjścia.”

Aha, niefajnie, pomyślałam.

„Wiesz, że z płatków róży, z tego co w niej najdelikatniejsze, robi się najdroższe olejki. Kiedy rozetrzesz jej płatki w dłoniach poczujesz prawdziwy zapach kwiatu...”

*"Lecz dzięki Bogu, który nam zawsze daje zwycięstwo w Chrystusie
i roznosi przez nas woń swojego poznania w każdym miejscu."*

2Kor 2:14

Paula